

Gazeta Wyborcza - 06/02/2006

Lesław, nadajesz się na dancingi

Z Lechem Janerką rozmawia Katarzyna Bielas

Nie za bardzo jestem swoim fanem

Zawsze dziwiło mnie, że Pan, autor "Ogniowych strzelb" czy "Konstytucji", współtwórca zespołu Klaus Mitffoch, który swoim ostrym graniem dokonał przełomu w polskiej muzyce młodzieżowej lat 80., całe życie słuchał Beatlesów i zachwycał się nimi.

Nieraz się ze mnie z tego powodu ludzie śmiali.

Słuchałem Beatlesów przez 30 lat i przyznam, że już mam trochę dość, puszczam ich teraz tylko w święta, na Wielkanoc, ze względu na ich radość życia, której sam nie posiadam.

Pamiętam, jak pod koniec podstawówki mój młodszy brat Andrzej, który jest teraz w Stanach, a jako dzieciak stawiał pierwsze kroki w szkółce baletowej przy Operze Wrocławskiej, zaprosił mnie na film z Beatlesami "Noc po ciężkim dniu". Strasznie mnie ten film znudził. W ogóle nie rozumiałem, dlaczego ci ludzie tak wrzeszczą. Samo kino było jednak wydarzeniem, bo prawie nie wychodziłem z domu.

Brat nie opowiadał wcześniej o Beatlesach?

Myśmy z braćmi - było nas trzech - ze sobą nie rozmawiali. Tak jak z rodzicami. Nie wiem, czy z ojcem rozmawiałem w życiu dziesięć minut, a z mamą, nie licząc połajanek, z pół godziny.

O Beatlesach myślałem, że by u nas na parafii z tymi fryzurami nie przeżyli, nie zdążyliby przejść na drugą stronę ulicy. Tam, gdzie mieszkaliśmy we Wrocławiu, czyli na ul. Nowowiejskiej, vis-a-vis domu Edyty Stein, było niebezpiecznie. Pamiętam, jak w latach 60. milicja chodziła po ulicach z psami i długą bronią.

Może i ci Beatlesi fajnie śpiewają - myślałem - ale nie pasują do miejsca, w którym żyję, a ja tu daję sobie radę.

Gdzie? Na podwórku, na ulicy? Co to było za otoczenie?

Trochę bandyterki, trochę biedy, ludzie, którzy szli do więzień, bo kogoś ciachnęli nożem czy coś tam, nie śledziłem tego. Znało się ich, grało się z nimi w piłkę, goście po dwadzieścia parę lat brali mnie do drużyny, bo byłem dobry. Trudno powiedzieć, że to byli kumple, ja z nimi na dziewczyny nie chodziłem, ale mówili: "Mały, widzisz tego pana, masz tu kulę, weź, przycełuj w niego". No to ja rzucałem, a że w kuli ze śniegu był kamień, łamałem typowi nos.

Uważałem, że jest fajnie, dostawałem brawa, papierosa.

Byłem agresywny, potrafiłem przylać, uważałem to za cnotę i podstawę funkcjonowania. Jak ktoś mi przypyskował, to dostawał baty, a jakkolwiek dialog ze mną to już było pyskowanie.

A jak było w domu? Dlaczego nie rozmawialiście?

Nie ma sensu gadać o moim domu, bo to nic nie wniesie. Sam siebie wyprodukowałem.

Rodzice byli wobec mnie małomówni, słabo serdeczni, ale to mi nie przeszkadzało, bo uważałem, że tak wygląda życie. Nie mogłem tego z niczym porównać, bo nie miałem znajomych, przyjaciół, nie bywałem w innych domach. Uważałem, że moje życie to standard. Polega na tym, że człowiek jest twardy, wykonuje proste polecenia, nie pozwala się dotykać ani zbliżać na odległość, z której można przylać. Mówi tylko, kiedy jest to konieczne, obserwuje i generalnie nie przeszkadza. Nie za bardzo cieszy się z czegokolwiek.

Polubiłem samotność, odosobnienie. Jak się nauczyłem czytać, co nastąpiło późno, bo na początku podstawówki byłem jakiś przygłupiaszczy, wypożyczałem z biblioteki po trzy książki naraz, czytałem zachłannie, jakbym się narkotyzował. Nie pamiętałem autorów, tytułów, wszystko mi się zlewało. Nie czytałem poezji, bo mnie żenowała, ktoś opowiada pierdoły, które nie są prostą informacją. Grałem w piłkę, trenowałem pływanie. Uważałem, że trzeba być twardzielem.

Kim byli rodzice?

Mama była house wife, a ojciec inżynierem innowatorem. Miał na koncie wynalazki, które pozwalały oszczędzać miedź. Japończycy go chcieli kupić, ale w końcu został dyrektorem fabryki wodomierzy. Był partyjny, w czasie, kiedy "Solidarność" stawiała się istotną siłą, miał poważne problemy.

Rodzice dali mi dom, utrzymanie, nigdy głodu nie było, mieliśmy telewizor Belweder, radio Szarotka, zieloną edycję "Atlasu świata", a z czasem centralne ogrzewanie, lodówkę i na początku lat 70. samochód. Rodzice chyba nie przepadali za sobą, a ja miałem nie sprawiać im kłopotu, w przeciwnym razie dostawałem w papę. Wyprowadziłem się, kiedy miałem 18 lat, rodzice się rozwiedli, dom przestał istnieć.

Wyszedłem z niego elegancko utwardzony, zobaczyłem, że inni są jacyś delikatni, subtelni, że jak trochę huknąć, to zaraz wpadają w stres i trzeba z nimi do psychologa. Patrzyłem na nich i myślałem: Boże!

Z wielu piosenek wynikałoby, że to Pan jest ten kruchy.

Bo pod koniec liceum nastąpiło załamanie mojej przemądrzałości i fuehrerowania. Zachłysnąłem się tym, że zaczynam ludzi rozumieć i że niekoniecznie wszystkich trzeba brać pod but.

Zaczął się Pan do kogoś odzywać?

Otwarcie nastąpiło na koloniach, kiedy całej sali przed snem opowiadałem historie skompilowane z lektur. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że mnie słuchają.

A co z graniem?

Granie, którego sam się nauczyłem, mieści się w imponowaniu, ale w liceum to ja głównie rysowałem. Oczywiście było, że Janerka zostanie plastykiem.

Wtedy każdy chciał zostać artystą. O pieniądzach się nie rozmawiało, uczniowie, których rodzice mieli np. 8 ha pod szkłem, byli pogardzani, wręcz dyskryminowani.

Nauczyłem się rysować i grać, bo to robiło wrażenie. Dziewczęta były bardziej skłonne, a faceci stawiali piwa. A jeszcze można było w ten sposób opowiadać o sobie. Rysowanie okazało się na tyle zajmujące, że miałem ochotę tracić na to czas. Absorbowało i zaspokajało wszystkie potrzeby, całe życie zewnętrzne można było odsunąć na bok i zająć się robieniem grafik.

Coś z tego wynikło?

Moje umiejętności rysownicze zweryfikowała komisja Akademii Sztuk Pięknych. Oddałem im swoje prace i dostałem odręczny list od jednego z profesorów, który napisał, że mu się to bardzo podoba, ale nie są w stanie mnie przyjąć, bo nie oddałem studium aktu i portretu. On uważa, że ja sobie spokojnie dam z tym radę, mogę do niego przez rok chodzić jako wolny słuchacz i podejść jeszcze raz. Ja jednak stwierdziłem, że skoro oni się nie poznali na moim geniuszu, to ja ich pieprzę.

Wyrzuciłem list do kosza, chyba nie odebrałem nawet teczki i przestałem o tym myśleć.

A co Pan rysował?

Oszczędne grafiki, które miały anegdotę, a przy okazji były eksperymentami, np. wywalałem kawał tuszu na karton i potrząsałem nim, aż się dziwnie rozpełzł. To było początkiem improwizacji, która przeradzała się np. w wesołe miasteczko. Zawsze to szło w stronę potwornie smutnej anegdoty zbudowanej na zasadzie przekory - jeżeli coś ma w nazwie np. "wesołe", to pokazać to jako smutne, czyli smutne wesołe miasteczko. W tamtych czasach myślałem, że to jest genialne.

Dla mnie wszystko, czemu się przyglądałem, było smutne, wręcz ponure i bez ludzi. Uważałem, że są nieistotni. Widzę ich teraz jak w zwolnionym tempie, jakby jakąś dziwną smugę za sobą zostawiali. Nie pamiętam twarzy.

Smutnym Pan był młodzieńcem.

A i owszem. Już jako dzieciak bardzo szybko się połapałem, że umrę, ale nie bałem się śmierci, nawet uważałem, że trzeba zginąć, np. jako pilot. Chciałem zostać pilotem, już w szkole zrobiłem sobie badania, ale okazało się, że nic z tego, bo mam wadę serca.

Nie widziałem w niczym sensu. Jeśli już w "Alicji w krainie czarów" czyta się, że sens nie ma sensu, to co ma sens, przepraszam bardzo? Bezsens. Dzieciak zaczyna bawić się słowami, ale coś mu z tego zostaje.

Jakąś nadzieję - wiarę w technologię, w postęp, przyszłość - dawał Lem, jestem w ogóle fanem science fiction.

Zawsze uważałem, że jestem samoporządkującą się formą chaosu, ale słabo mi idzie. W pewnym momencie zrobiłem z tego ideę nadrzędną. Bardzo wyraźnie czuję chaos na zewnątrz, czuję też, że powinienem doginać samego siebie i porządkować. Moje rysowanie było właśnie porządkowaniem chaosu. Tak samo granie. Największe problemy miałem z przekonaniem siebie, że należy pisać teksty. Dla mnie, kiedy muzyka dostaje tekst, ubożeje.

Pana muzyka bez tekstów moim zdaniem byłaby uboższa. Jak Pan je pisze?

Różnie, czasem zaczynam np. od połowy wyrazu w trzecim wersie. Zawsze najpierw jest muzyka. Ideałem byłoby pisanie jednocześnie tekstu z muzyką. Tylko raz mi się to udało, w piosence o

konstytucjach, "które mają jeden cel", wers po wersji od razu wskoczył, no i puenta, "ale my to mamy gdzieś, dokładnie tam". Leżałem z żoną w łóżku, więc mówię: - Bożenko, poczekaj chwilę.

Wyszedłem do drugiego pokoju, zanotowałem na kartce, obok stała gitara, zapisałem akordy, pierwsze dwie nuty, od których się odbijałem. Potem wróciłem do łóżka, myślę: - Napisałem piosenkę o konstytucjach - śmieszna, śpimy.

A poza ideałem?

Zazwyczaj piszę tekst do muzyki, nie mam tematu, ale z grubsza wiem, jaki jest nastrój. Czasami piosenka ma aurę bardzo pogodną, a ja z premedytacją mówię: nie, podkreśmy to, zrobmy coś z zupełnie innej beczki. I do wesołej melodii - podobnie jak z grafikami - dopisuję np. dramatyczny tekst, który powoduje, że się robi dziwnie. Nawet "Konstytucje" są takie, melodia frywolna, a tematyka smępna, tylko że udało się to osiągnąć bez kombinowania. To samo z "Delikatnie dobij nieszczęśliwych" z piosenki "O niebie" i z "Nad ranem śmierć się śmieje". Można mówić o ponurych rzeczach, ale musi być w tym jakaś energia, nadzieja. Cały Klaus Mitffoch był tak zbudowany. Był nadzieją.

Grając w Klausie, miał Pan prawie trzydziestkę? Co było przedtem?

Nie licząc walenia w nienastrojoną gitarę i wycia "Autostopu" Karin Stanek na lekcji w podstawówce oraz godzinnego pobytu w domu kultury, wszystkiego nauczyłem się sam.

Muzykę do ostatniej płyty "Plagiaty" skomponowałem, kiedy byłem w liceum. Po ponad 30 latach otworzyłem zeszytik, zobaczyłem sekwencję akordów i jeden wers: "jadę na rowerze co ma siedem kół". Próbowałem to kontynuować, tak powstała piosenka "Rower".

W 1975 roku w architektonicznej szkole pomaturalnej poznałem moją późniejszą żonę Bożenę i założyliśmy zespół. Bożena grała na skrzypcach, wystartowaliśmy w konkursie na Festiwalu Piosenki Studenckiej i dostaliśmy po dupie. A żeby było śmieszniej, odpadliśmy, grając późniejszy przebój z płyty "Historia podwodna" - "Ta zabawa nie jest dla dziewczynek", oczywiście w innej aranżacji.

Potem na dwa lata poszedłem do wojska.

Tak bez protestu?

Po totalnej porażce na frontach ASP i konkursu muzycznego byłem załamany. Sztuka to ułuda pieprzona, się okazało. Co robić? Jedyнным honorowym wyjściem pozostawał alkoholizm albo narkomania, ale ja niestety w ogóle nie piłem ani się nie narkotyzowałem, choć miałem tysiąc okazji. Wojny żadnej nie było, żeby zginąć, zresztą jako pilot i tak nie mogłem, a do Legii Cudzoziemskiej też nie, bo miałem niechęć do podróży. Pomyślałem, że w tej sytuacji pójdę do wojska, będę biegał z karabinem i nożem w zębach na świeżym powietrzu, to jest jakaś opcja. I poszedłem, pół roku było rzeczywiście tak, jak myślałem, fajnie, podobało mi się.

A potem?

Potem ze względu na dobrą prezencję wzięli mnie do orkiestry wojskowej, która grała w kasynie. I to na bas, na którym w ogóle grać nie umiałem. Powiedzieli: - Możesz w ogóle nie grać, wal w najgrubszą strunę i ładnie się prezentuj. No i grałem pół roku do kotleta.

Repertuar mieliśmy niesamowity - Jacka Lecha, ale i Rolling Stonesów, Led Zeppelin, Beatlesów. Kiedy raz w sylwestra w sali gimnastycznej zagrałem i zaśpiewałem "Girl", "Maxwell's Silver Hammer", to jakiś szarża przysłał mi przez kelnera w liberii tacę kieliszków wódki. Wprawdzie nie piłem, ale to był pierwszy raz, kiedy - nie licząc rówieśników na koloniach - ktoś zauważył moje artystyczne poczynania. Pomyślałem sobie wtedy - no widzisz, Lesio, nadajesz się na dancingi.

Tak Pan do siebie w duchu mówi, Lesio?

Raczej Lesław, bardziej oficjalnie. Jestem Lech, tym Lesławem trochę z siebie szydę, bo nie za bardzo jestem swoim fanem.

W wojsku przez te pół roku grania byłem świętą krową, chodziłem w pepegach. Debiutowałem przed głównodowodzącym Północnej Grupy Wojsk Radzieckich w jakichś bunkrach nie wiadomo gdzie. W ogóle cała ta orkiestra została chyba po to zorganizowana, żeby jakąś rocznicę rewolucji, pewnie październikowej, uczcić. Przed wyjazdem dzień i noc uczyliśmy się repertuaru. Byliśmy przerażeni, ale wszystko wyszło dobrze. Kariera się rozwijała, ale ja się wycofałem.

Dlaczego?

Żeby przeżyć. Moi kumple z orkiestry strasznie tego pili, czasami sam zostawałem na scenie, brzdąkałem na basie i coś tam pod nosem smędziłem do mikrofonu. Z kolei oficerowie, jak popili, to kropili w sufit, tzw. palbę odstawiali. Pomyślałem, że za którymś razem, jak dostaną szalu, to jeszcze we mnie kropną, i zrezygnowałem.

Poza tym wołałem do domu jeździć, do żony. Wróciłem do zajęć wojskowych. Ten drugi rok to było czekanie na wyjście z wojska. Pisałem sobie różne fajne piosenki.

Na przykład?

Np. "Muła pancernego". Przeczytałem w piśmie "Razem" - jako członek orkiestry miałem dostęp do pism - artykuł o tym, że w Anglii powstał nowy nurt muzyczny punk rock i że jest zespół Sex Pistols, który gra obrazoburczą muzykę z obrazoburczymi tekstami. Zacząłem myśleć, co by to mogło być ten punk rock, i próbowałem zrobić swoją wersję.

Nie słyszał Pan w ogóle punk rocka?

A gdzie miałem słyszeć? Widziałem tylko zdjęcie, Vicious, ich basista, potem się chyba zabił. Fajnie chłopak wyglądał, próbowałem zagrać coś pod to zdjęcie.

I tu zabawnie się zaczyna robić, bo ten mój "Muł" okazał się naprawdę formalnym wynalazkiem, jechało się po skali półtonowej, po trytonach, był tam jakiś opętający rytm. Tak się w 1976 roku nie śpiewało i nie grało.

Jak wyszedłem z wojska, zapomniałem w ogóle o punk rocku, ale kiedyś spotkałem na schodach kolegę, który mówi: - Wpadłbyś kiedyś do mnie, płyt byśmy posłuchali. Mówię: - Dobra. Przyszedłem, patrzę, a tu leży płyta Sex Pistols, jakieś obrzydliwe kolory. Pytam: - Jak oni grają? A on: - Puszczę ci, akurat obiad mam, ty sobie posłuchasz, a ja pójde podjeść. No i puścił. Fantastyczna sekwencja, fajnie się powtarza. Myślę, genialne, że ja na to nie wpadłem. Naprawdę geniusze. Grają tak z 15 minut, ja w trans wpadłem, kiwam się. A tu właściciel adaptera wraca i mówi: - O kurczę, zacięło się. I podepchnął.

A dalej to był normalny rock and roll. Słucham i myślę: - Wielki mi punk rock, Sex Pistols to syf w ogóle, mój "Muł pancerny" ciekawszy.

"Muł pancerny", "Ewolucja, rewolucja i ja", "Jezu, jak się cieszę", "Ogniowe strzelby" z płyty "Klaus Mitffoch" to na początku lat 80. były hity. Jak powstał jeden z najważniejszych polskich zespołów, którego był Pan liderem?

No nie, hitem było "Jezu, jak się cieszę", a ja nie byłem liderem Klausa! Prasa mnie wykreowała, co doprowadziło do konfliktów, m.in. dlatego odszedłem z zespołu.

Personel zespołu to byli dosyć ponurawi goście, którzy na zasadach wzajemnej akceptacji próbowali sobie nawzajem zaimponować. Było granie, nasza muzyka miała energię, ale prawie ze sobą nie rozmawialiśmy.

Kiedy doszło do kontaktów z prasą, zostałem wypchnięty do przodu: Lechu, piszesz teksty, to pewnie im też coś powiesz. No i Lesław wychodził i coś tam głądził. A potem zrobiła się draka: dlaczego twoje zdjęcia są w gazetach, dlaczego tylko z tobą rozmawiają? Bo zazwyczaj artykuły zaczynały się: Lech Janerka, wokalista, basista, kompozytor, autor tekstów, aranżer i lider zespołu Klaus Mitffoch.

Dostałem szału, bo dla mnie to wyjście na zewnątrz było potwornym stresem, miałem zawsze poważne problemy z komunikowaniem się z ludźmi, ze skleceniem jednego sensownego zdania. Ale nikt inny się nie kwapił.

Jak to się wszystko zaczęło?

Klaus Mitffoch powstawał na raty. Pierwszy skład to był Krzysiek Pociecha, ja na gitarach, potem zacząłem też grać na basie, i Kazio Sycz, informatyk, który zrezygnował, bo nie wierzył, żebyśmy do czegoś doszli. Potem doszedł do nas plastyk Marek Puchała - obecnie dyrektor Biura Wystaw Artystycznych we Wrocławiu. Chciał grać na bębnach, powiedział, że nie umie, ale się nauczy. I rzeczywiście się nauczył. Na końcu dobył Wiesiek Mroziak, stylowy gitarzysta i birbant.

Ten pierwszy skład to była formacja do zbijania bąków w weekendy. Na początku u mnie w łazience, potem w jakichś piwnicach, w domu kultury. To w ogóle nie było pomyślane jako rzecz dla publiczności, nie mówiąc już o zarabianiu pieniędzy.

W pewnym momencie jednak uznaliśmy, że jesteśmy na tyle dobrzy, że możemy się powygłupiać. Poszliśmy do znanego wrocławskiego klubu studenckiego Indeks, który już dziś nie istnieje. Wiadomo było, że tam można zagrać na czyimś sprzęcie, bo myśmy własnego nie mieli. Jak zagraliśmy, wszystkim szczeka opadła ze zdziwienia, że inaczej, a od serca.

Dla mnie to była jedna wielka hucpa. Kiedy wyszła płyta Klausa, to się śmiałem, że głupi ten, kto to kupi. A potem nie mogłem bratu wysłać, bo cały nakład w pół dnia się rozszedł. Byłem w lekkim szoku.

W końcu uwierzył Pan w siebie?

Ja tam w ogóle nigdy nie uważałem się za muzyka. Dalej tak jest. Wiem, że odstawiam lipę, grając, nawet nie jestem kompozytorem.

Ja potrafię zachwycić się muzyką, a to, że gram, jest efektem tego mojego zachwycenia, zahipnotyzowania muzyką. Próbuję odzyskiwać te stany, symulować je. Robię to w drodze samozaparcia intelektualnego, najpierw staram się przeanalizować, co to znaczy muzyka, a potem wykonuję małe ruchy, które ją udają.

Jaki był kontekst wtedy dla waszej muzyki?

We Wrocławiu najpierw obowiązywało granie bluesa, a potem reggae, pamiętam zespół Miki Mausoleum, był też Tempelhof.

Tak naprawdę to nie miałem zielonego pojęcia, co się gra, nie byłem muzykiem, tak jak żaden z nas, nie chodziłem po klubach. Jak wiadomo, słuchałem Beatlesów.

To nie były najprzyjemniejsze czasy, robiłem więc muzykę, która wydawała mi się do tych czasów adekwatna, co zresztą zawsze było dla mnie ważne.

Do tej pory ludzie mocno reagują na tamte piosenki.

Kiedyś ktoś z młodziaków powiedział: "Słuchałem Klausa, to jest jak >>Powstanie Warszawskie<<, jest syf, dramat, a my tu twardo łapiemy za ryj sprawy". Teraz zespół Lao Che nagrał płytę o Powstaniu Warszawskim, stąd reminiscencja.

A tak swoją drogą, ciekawe, czy następną płytę nagrają o obronie Częstochowy...

Tak, wtedy myśleliśmy, że mamy powstanie lat 80., pod moim domem jechał skot i walił w akademik, strzelanina, zadymy, walki.

Wcześniej nie interesowałem się polityką, ale jak mi na pustej ulicy z raketnicy strzelili do wózka z dzieckiem, nastąpiło przebudzenie. Na szczęście nie trafili, bo nie wiem, co by się stało.

Przedtem się Panu w Polsce podobało?

A skąd miałem wiedzieć, że jest źle? Byłem zupełnym odludkiem. Polityka była poza sferą moich doświadczeń, na podwórku się nie rozmawiało o polityce, tylko grało w piłkę albo klepało się leszcza.

Najpierw moje rachunki płacili rodzice, a jak po wojsku zacząłem pracować jako fotograf w urzędzie wojewódzkim, to od razu bardzo dobrze zarabiałem. Pracowałem na akord. Robiłem reprodukcje map, planów geodezyjnych, zdjęć. Miałem aparat jeżdżący na szynie, który ważył 8 ton. Co mi się miało nie podobać?

Po latach dowiedziałem się, że w wojsku mieli nas przerzucić do Radomia. My wtedy w ogóle nie wiedzieliśmy, że jest jakiś Radom. Zastanawiałem się, jak bym się zachował. Wojsko wytwarza taką psychozę, że to, co na zewnątrz, człowieka nie bardzo interesuje.

Na szczęście do tego nie doszło.

A przedtem? Nic nie docierało ze świata zewnętrznego?

Nie, bo głowę wypełniałem sobie tym, co wyczytałem w książkach.

W liceum mój nauczyciel, zamiast uczyć matematyki, dawał "Kulturę" paryską, więc wiem, że mogło być różnie.

Przypominam sobie teraz, że w podstawówce w 1968 roku była rzeczywiście draka. Miałem kumpla, którego siostrę gdzieś tam zamknęli, ona potem wyjechała do Szwecji.

Myślałem wtedy: wyjechała, to pewnie nie miała ochoty tu siedzieć.

Mnie się w głowie nie mieściło, że jest jakiś problem z Żydami. W domu nie było tematu. Na podwórku mieliśmy rodziny żydowskie, najładniejsze dziewczyny to były Żydówki. Potem ktoś powiedział "precz z Żydami", myślałem, że to żarty. Na ścianie dzieciaki pisały "OAS" - to była organizacja terrorystów za de Gaulle'a - albo "Żydzi". Uważałem, że to wygłupy, tak jak z pisaniem "Zorro" czy "dupa".

A potem nagle się okazało, że Żydzi są niedobrzy i w Polsce się ich nie lubi. Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to to, że to mnie przerasta, i wróciłem do swoich "Tomków na wojennych ścieżkach".

To niedobrze, że w domu nie mówiło się o wielu rzeczach. Uważam, że rodzina powinna dać przynajmniej podstawy informacji. Niestety, córki wychowałem podobnie, czasami, jak o coś pytały, mówiłem, że muszą same sobie odpowiedzieć.

Dlaczego?

Bąłem się. Wcale nie jestem pewny kolekcji moich odpowiedzi.

Przychodzi do mnie 16-letnia pannica i pyta, co jest ważne w życiu, tak z grubej rury pojechała. Mógłbym głądzić na ten temat, ale nie odważyłem się.

Nie wiem, mówiłem, że może seks, bo, kurczę, jakoś tam seks jest ważny, szczególnie w tym wieku.

Ale cóż to jest za odpowiedź, że może seks. A może to, żeby każdego dnia lekko zasypiać. To są ogólniki, a nie żadne odpowiedzi, jakieś bzdury. Wycofałem się.

Naprawdę nie wiem, co w takich sytuacjach się mówi.

No to niech Pan powie, jak reagowała publiczność na koncertach Klausa?

Pamiętam koncerty, na których po "Strzeż się tych miejsc" zapadała absolutna cisza. Ale zdarzało się też, że publiczność okładała się łańcuchami. To był taki punkowy szpan, żeby się popychać, potrącać, przewracać, a ponieważ jakieś dziwne używki szły w ruch, więc potrafili się tłuc dosyć ostro. Muzyka była agresywna, a "Ogniowe strzelby" to był jeden wielki krzyk, żeby zrobić rewolucję. To wywoływało w ludziach dzikie żądze. W 1983 roku na koncercie w Bydgoszczy tłum ruszył na ochronę.

Zresztą do dzisiaj tak jest, kilka tygodni temu w Poznaniu przy piosenkach z repertuaru Klausa ludzie dostali szału pod sceną, przewalali się, zaczęli się nosić na rękach. A 25 lat temu tłem dla nas były piosenki "Szparka sekretarka" i "Nie płacz, Ewka". A my tu w "Ewolucja, rewolucja i ja", że Papież nie jest w stanie się przeciwstawiać, że budujemy nowe rządy, kończy się wiek, chaos się nadyma, rodząc sens. Albo w "Ogniowych strzelbach", że noże i pały złym monopolom na zgon.

Wysyłaliśmy do rówieśników bardzo poważne informacje, to nie były wygłupy.

Dlaczego nazwa "Klaus Mitffoch", po niemiecku, ale pisane niepoprawnie?

The Beatles też było pisane niepoprawnie, a poza tym "Klaus Mitffoch" to gra słów, że to Klaus z fochami, Klaus, który miewa fochy. Tak sobie wymyśliłem, wiele nad tym nie deliberowaliśmy. Potem jak dziennikarze pytali, dlaczego po niemiecku, no to my, że jesteśmy z Breslau i że nas ziomkostwa utrzymują.

Myślałam, że to Wam przypisano.

Sami to powiedzieliśmy. Nie mieliśmy nic do stracenia, więc bawiliśmy się świetnie, pyskując na lewo i prawo albo nie rozmawiając w ogóle. Prowokowaliśmy, zachowywaliśmy się jak prawdziwy zespół rockowy.

Wydawało nam się to zabawne. Były afery wokół nazwy, ale niespecjalnie nas to interesowało, zajmowaliśmy się głównie napieraniem, czyli tworzeniem nowego materiału i koncertami.

Zresztą cóż mógł taki zespół? Trochę pokrzyczeliśmy i błyskawicznie nas upierdzielili.

To znaczy?

Zrobiliśmy bardzo nowoczesny jak na tamte czasy teledysk do piosenki "ewo-rewo", czyli "Ewolucja, rewolucja i ja" - "Aurora" pękała na pół, Pałac Kultury się wywracał, jakieś cuda się tam działy.

W telewizji nas obśmiali i pogonili. Byliśmy bardzo zdziwieni, bo to był dalece artystyczny teledysk. Jak to? Uprawiamy sztukę, więc chyba możemy robić, co nam się żywnie podoba. Okazało się, że nie.

To był kolejny powód, że Klaus się rozleciał, drobiazgi typu blokada w telewizji, pomruki, że cenzura itd.

Napięcie rośnie, a my i bez tego byliśmy w totalnym stresie. Graliśmy dużo koncertów zupełnie nieprzygotowani do wyjścia na scenę. Budowaliśmy piramidy, których nasze psychiki nie były w stanie unieść. Prywatka trwała non stop, a rockowa bohema Warszawy klęczała nam u stóp. Dosłownie. Pamiętam, jak po występie w warszawskim klubie Park żony luminarzy show-biznesu bawiły się - robiąc maślane oczy - moimi czerwonymi butami na rzepy, które brat przysłał mi ze Stanów.

Byliście tak popularni? Rozpoznawali Was na ulicy?

Nasz teledysk z "Jezu, jak się cieszę" latał po dziesięć razy dziennie w telewizji.

W Warszawie ludzie tramwaj zatrzymali. Jadę sobie do studia, a tu nagle ktoś wrzasnął: - O, to ten, co śpiewa "Jezu, jak się cieszę". To było pod Domami Centrum, zrobił się krzyk, ruchawka na wejściu, przyszedł motorniczy, próbował ludzi rozgonić, tramwaj nie odjechał. Ogólne zamieszanie, krzyki "Lechu, chodź do nas".

Chwilę to trwało. A na przyjęciach czułem, że wszyscy czekają, że wejdę na stół, spuszczę spodnie i walnę kupę w półmisek. Nie zrobiłem czegoś takiego i czasem żałuję.

Nie wyrobiliśmy, nie dawaliśmy rady, jedni popijali, drudzy się narkotyzowali, jakieś tam dziewczęta, wszystko tworzyło młyn. Ja źle znosiłem wyjazdy, nie byłem w stanie spać w hotelu. Zupełnie nie mogłem pogodzić takiego życia z zasadami gościa, który siedzi na uboczu i robi to, na co ma ochotę.

Powiedział Pan kiedyś: "Miałem okres, kiedy całe dni nie wychodziłem, patrzyłem w ścianę, myśląc o cyfrze zero".

To było właśnie po kryzysie z Klausem, Bożena pojechała do Stanów, a ja kupowałem papierosy kartonami, wychodziłem tylko, jak mi się karton kończył.

To nie znaczy, że przed Klausem tak nie siedziałem, ale nie miało to aż tak tragicznego wymiaru. Zespół i granie miały być maszyną do przetransponowania mnie z zaciemnionego pokoju do ludzi.

A teraz znowu siedziałem i patrzyłem w ścianę, pewnie do przeleczenia się nadawałem, ale skończyło się na papierosach. Teściowa zabrała dzieci, może i słusznie, ale potem je odebrałem i zajmowałem się nimi, odprowadzałem do przedszkola, miałem jakieś zajęcie.

Byłem zupełnie wypalony.

Mówił Pan o cenzurze.

Przy "Klausie" sam nie miałem żadnych kontaktów, to załatwiał Tonpress. Przy następnych płytach tak. Pamiętam, że kiedy nagrywaliśmy "Konstytucje", to Marek Proniewicz z Tonpressu powiedział: - Lechu, trzeba zmienić tekst. A ja mówię, że jest to rzecz święta i nie do odkręcenia, podkłady instrumentalne są już nagrane. - Wiesz co, dośpiewaj sobie inny tekst, ja w ogóle rezygnuję, to jest bzdura - mówię. Powiedziałem, że jadę do domu, byłem ciężko obrażony. I w końcu nic nie zmienili, nawet nie wnikałem, co się wydarzyło.

Przy "Piosenkach" tu już sam byłem z kwitkami u cenzorów, to był 1987 rok, nie pilnowałem tego, pojechałem do Stanów i płyta wyszła z grubym opóźnieniem.

O co tam poszło?

O wszystko. W "Leniwie lecąc" nie wolno było zielono świecić, to leciało: "zielono świecąc, unoszę się nad sad, a wojska, które ćwiczą plan, dyskretnie prezentują broń". Była afera o "Paramilitarne gołębie" - cenzor krzyczał: - Panie, pan oszalał, gołębek to jest pokój, Picasso, Wrocław, co za bzdury pan wypisuje! Na 14 piosenek skreślili mi 12.

A w ogóle jak wszedłem, to cenzor zawołał drugiego: - Chodź, zobacz, to ten gość, co "Konstytucje" napisał. I zaczęli mnie oglądać.

Ci cenzorzy to byli starsi panowie. Mówię: - Dobrze, zmieniamy. Był tytuł "Wszyscy inteligentni mężczyźni idą do wywiadu". - Zwariował pan, tak nie może być - ciach, skreślił. Niech pan coś wymyśli. Ja mówię: - Dobrze, niech będzie "wszysty inteligentni mężczyźni idą bez obiadu". Facet oszalał... Jak by powiedziała Masłowska: "Nabrał w płuca liczne powietrze".

Już nie pamiętam wszystkich zmian, bo na koncertach i tak śpiewałem w wersjach oryginalnych.

Na końcu gość otworzył kasę pancerną, wyjął zbiorek poezji i mówi: - Wie pan co, ja w latach 40. też byłem kozak, na pamiątkę dam panu mój tomik, którego cenzura też mi nie puściła. Już wyszedłem, trzasnąłem drzwiami, a on jeszcze mnie woła: - Wie pan, ja piszę podręczniki szkolne, a także teatryki dla dzieci, może pan zrobi do tego muzykę.

Nie chciał Pan wyjechać do Stanów, do brata?

Brat próbował mnie ściągnąć, ale nie miałem czasu ani ochoty. Po co miałem wyjeżdżać, skoro jako fotograf zarabiałem tyle co dwóch dyrektorów naraz.

Na płycie Klausa Mitffocha jest piosenka "Nie jestem z nikim".

W tym czasie wszyscy nagminnie wyjeżdżali do roboty.

To miało się nazywać "I znowu w Niemczech" i mieć zupełnie inny tekst. Leciąło to tak: "I znowu w Niemczech jesteś turystą, który chce / znów dajesz dupy z tą wizą, która mówi nie, nie, nie".

Ponieważ mój brat wyjechał do Niemiec, pomyślałem, że nie będę mu robić przykrości, i wszystko zmieniłem.

W 1981 roku chcieliśmy z Bożeną wyjechać, ale stan wojenny nas zatrzymał. To znaczy żona chciała, ja nie byłem taki odważny. Zrobiliśmy rezerwację na noc z 12 na 13 grudnia. Ale, jak w jakimś głupkowatym opowiadaniu, mój drugi brat, Paweł - obecnie fabrykant i krwio pijca, który mieszka w Polsce - akurat się żenił i mówi: - Przesuńcie wyjazd o tydzień, może się już nigdy nie zobaczymy. No i w trakcie wesela ogłoszono stan wojenny.

No to jak się Pan znalazł w Nowym Jorku w 1988 roku?

Mój amerykański brat naciskał i naciskał, aż tu na wiosnę 1988 roku Bożena, która gra na wiolonczeli na wszystkich moich płytach nagranych po "Klausie", urwała ścięgno w palcu od cyngla, rekonwalescencja miała trwać pół roku, o koncertach nie było mowy. Teraz nie miałem argumentów, żeby nie jechać. Pomyślałem, że zarobię na wymarzony bas, kupię sampler i dokończę płytę. I tak się stało. Poprzyglądałem się też Stanom, tzn. Nowemu Jorkowi, bo poza Manhattan nosa nie wystawiłem.

Gdzie Pan pracował?

W telewizji, przy organizacji znanego talk-show Geraldo Riviera Show. Geraldo wpadł na szatański pomysł, że zrobi spotkanie Czarnych Panter z Ku-Klux-Klanem. Od razu zaczęli się tłuc na wizji, oko mu podbili, było niezłe kino.

Moja praca w Apple Studio przy Times Square, w którym kręcono te programy, polegała na tym, że ekipę, która robiła dekoracje, uczyłem w kantynie zamawiać pierogi ruskie po polsku.

Grał Pan tam?

Nie. Poznałem ludzi, którzy posłuchali płyt, stwierdzili, że fajne, europejskie, kariery nie zrobię, ale na kampusach miałbym publiczność. Powiedzieli: - Dzwonić po zespół. Ale nie było do kogo dzwonić. Bożena - ściętno, gitarzysta wprawdzie przyjechał, ale powiedział, że nie będzie więcej grał i zostaje w Stanach. Woli kręcić się po Christopher Street, niż biegać z wiosłem po scenach, bo to go stresuje. A perkusista Janek Rołt, wybitny gość, poszedł w zaświaty - AIDS czy coś. I w sumie zrobiła się kruchoza.

Czy Nowy Jork miał wpływ na Pana muzykę?

Na płytę "Ur". Nowy Jork to idealne miejsce dla kogoś takiego jak ja, kto lubi samotność w tłumie. To slogan, ale ja rzeczywiście uwielbiam być sam, kiedy naokoło jest ruch i zadyma. Potwierdziły się te wszystkie banały, że to przytłaczające miasto, które nie zasypia i uczy bezwzględności, ale i pozwala być fisiem.

Rzadko wydaje Pan płyty, dziewięć przez 23 lata.

Robię muzykę wtedy, kiedy mam coś do powiedzenia. Po każdej płycie muszę się zresetować. Nie mogę wtedy nawet słuchać muzyki.

Długo to trwa?

Różnie, najdłużej chyba po skończeniu płyty "Ur", którą w 1989 roku robiliśmy z Bartkiem Straburzyńskim i Markiem Majewskim na komputerze, co w tamtych czasach nie było tak oczywiste jak teraz.

Przywiozłem ze Stanów sampler, a ponieważ to był prototyp, dołączyli tylko króciutką ulotkę, że oto jest nowy sampler Yamahy i baw się dobrze. Rozgryzanie takiego samplera to jest coś niesamowitego, zaglądasz do brzucha urządzenia, o którym w ogóle nie wiesz, na jakiej zasadzie działa. Chyba ze dwa miesiące mi to zajęło, a wtedy przyszła z Japonii instrukcja obsługi, która miała 400 stron. Napisali: sorry, ale program, który ci sprzedaliśmy, nie był doskonały, teraz wszystko się zmienia. Czyli to, co wykombinowałem przez dwa miesiące, o dupę potłuc.

Kiedy skończyłem pracę nad płytą, byłem wykończony, ale za to za pan brat z komputerem. Żeby się zresetować, kupiłem symulator lotniczy samolotu F-22. Utknąłem przy nim na trzy lata, dzień i noc po 18 godzin.

Pierwsza część to gra sprawnościowa, lata się samolotem, toczy się walki powietrzne itd. Druga - gra strategiczna. Cienki jestem w strategii, bo przez dwa lata ani razu nie wygrałem. Grałem i grałem - joysticki miałem przyssane do szyby - aż za którymś razem wściekłem się i rozłukłem szybę. Bożena dostała szału i powiedziała: - Wyrzucasz gry strategiczne albo cię zastrzelę i odgryzę łeb.

Pomyślałem: - Lesław, coś kiepsko kombinujesz. Wyrzuciłem symulator, komputer komuś podarowałem i od tego czasu nie grywam. Zresztą już się nasyciłem.

To tylko trzy lata. Czasem miał Pan dłuższe przerwy.

Zacząłem interesować się filozofią. Trafiłem na Kołakowskiego, przeczytałem "A jeśli Boga nie ma...", "Moje słuszne poglądy na wszystko" itd. Że ja też tego nie miałem w liceum, po prostu byłbym zupełnie innym człowiekiem! Zacząłem się też interesować religiami, gnozą. To przejaw dobrobytu i przesublimowania Lesława.

Religie, Bóg, te tematy są u Pana często obecne, wyraźnie na płycie "Fiu, fiu".

Pytanie, co z Bogiem, chyba po raz pierwszy zadawałem sobie, czytając w dzieciństwie Lema.

W domu nie było mowy o religii, nie chodziliśmy do kościoła. Nie byłem u komunii, nie jestem ochrzczony. Jak gdzieś padało jakieś hasło związane z religią, to ja nic, byłem zupełnie surowy. Nie przejmowałem się tym specjalnie, ale coś tam zacząłem sobie na ten temat czytać, bo głupio było nie wiedzieć.

Pierwszą rzeczą, jaką kupiłem, kiedy wyprowadziłem się z domu i zacząłem pracować, był "Słownik wyrazów obcych".

Do dziś dla hecy kupuję każde nowe wydanie. Jak mi się nudzi, to sobie przeglądam.

A co z Bogiem?

Zadałem sobie pytanie, do czego jest mi potrzebny Bóg. Stwierdziłem, że do niczego, i przestało mnie to męczyć.

W "Wirniku" śpiewa Pan: "Od naziemnego personelu Boże broń".

Zacząłem postrzegać religie jako produkt kultury masowej. Miałem problem z Papieżem. Papież jako instytucja to dla mnie świetny pretekst, żeby zastanawiać się, dlaczego ten człowiek jest taki ważny, co on takiego ważnego mówi, jakie mechanizmy go tak wysoko wynoszą.

Nie podobało mi się, kiedy w telewizji Papież strasznie tubował. Wychodziło, że na mnie wrzeszczy, niewierzącego. No to napisałem piosenkę "Chcę tego" o tym, że religie każą stawać w ordynku, w porządku, który jest niestety masowy i przez to, moim zdaniem, traci na jakości. Nie podobało mi się i dałem temu wyraz. Paradoksy bytu tu. Ale teraz kompletnie przestałem się tym przejmować.

Nie przymierzał się Pan do wschodnich filozofii?

Ja w ogóle nie odczuwam potrzeby kontaktów z transcendentnymi historiami. Czuję się częścią wszechświata, bo nią jestem, czy tego chcę, czy nie, ale nie mam w sobie imperatywu rozbudowywania tej więzi.

Można by powiedzieć, że jestem częścią wszystkiego w sposób dość powierzchowny.

Słuchając Pana piosenek, odnosi się czasem inne wrażenie. Nie mam też poczucia, że są one ateistyczne.

Na mieście wisiał kiedyś banner: "Boga nie ma. Lech Janerka", reklamował pismo "Machina". Jak to zobaczyłem, zamarłem, bo biło po oczach. Świetne, choć cytaty niedokładny.

Sprawa z Bogiem jak zwykle nie jest prosta, a wierzącym nawet trochę zazdrość, bo wiara porządkuje życie, myślenie, chaos. A ja sobie siedzę i prowadzę dialog z wierzącymi, z Bogiem, z jakąś sytuacją filozoficzną. Staram się szanować ludzi i tyle. Ktoś nawet powiedział, że katolicy powinni wysłuchać płyty "Fiu, fiu", a moje teksty powinien wydrukować "Tygodnik Powszechny".

Też tak uważam, bo wierszówka i splendor...

Lech Janerka (ur. 1953) - wokalista, basista, kompozytor, aranżer, autor tekstów piosenek (m.in. "Konstytucje", "Jezu, jak się cieszę", a ostatnio "Rower"). Współtwórca słynnego, założonego w 1979 r. wrocławskiego zespołu Klaus Mitffoch, który dokonał przełomu w muzyce młodzieżowej lat 80.

W 1984 r. Janerka opuścił zespół i od tej pory sygnuje płyty własnym nazwiskiem. Wydał m.in. "Historię podwodną" (1986), "Piosenki" (1989), "Ur" (1991), "Co lepsze kawałki" (1993), "Bez prądu" (1994), "Bruhaha" (1994), "Dobranoc" (1996), Fiu, fiu" (2002), "Plagiaty" (2005) oraz książkę z piosenkami "TEXTY" (2002).

Od "Historii podwodnej" na wszystkich płytach na wolonczeli gra żona, Bożena Janerka. Mieszkają we Wrocławiu.

Napisał (z Bartoszem Straburzyńskim) muzykę do filmów "Chce mi się wyć" Jacka Skalskiego i "Obcy musi fruwać" Wiesława Saniewskiego. W "Głośniej od bomb" Macieja Wojcieszka zagrał niewielką rolę handlującego bimbrem księdza.

Muzykę do ostatniej płyty "Plagiaty" skomponował jeszcze w liceum.

Gra z zespołem kilkadziesiąt koncertów rocznie, na które przychodzi kilka pokoleń fanów.

